

„UNII NIE ZALEŻY NA UKRAINIE I GRUZJI TAK BARDZO, JAK POLSCE” – ROZMOWA Z JANUSZEM WDZIĘCZAKIEM

Michał Banasiak

11 GRUDNIA 2019



Źródło: <http://ine.org.pl/unii-nie-zalezy-na-ukrainie-i-gruzji-tak-bardzo-jak-polsce-rozmowa-z-januszem-wdzieczakiem/>

W ostatnich latach Polska stała się modnym kierunkiem emigracji zarobkowej dla mieszkańców Ukrainy, Gruzji czy Mołdawii. W drugą stronę coraz śmieiej spogląda polski biznes, który szuka dla siebie nowych rynków. Polityczne, gospodarcze i społeczne zbliżenie polsko-wschodnie pokazało, że angażujemy się w relacje z krajami byłego Związku Radzieckiego znacznie bardziej niż inne państwa Unii Europejskiej. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Gruzja nie może uznać niezależności Abchazji i Osetii? Czy na Wschodzie warto robić interesy? Na te i inne pytania odpowiada dr Janusz Wdzięczak, ekonomista, prezes fundacji Ambitna Polska, badacz i pasjonat krajów Europy Wschodniej.

Michał Banasiak: Rozmawiamy w „przeddzień” częściowego otwarcia się niemieckiego rynku pracy na obywateli Ukrainy. W kontekście naszego zapotrzebowania na pracowników, powinniśmy obawiać się konkurencji?

dr Janusz Wdzięczak: Sądzę, że nie. Polskie firmy zajmujące się pośrednictwem pracy, już wcześniej podejmowały próby pozyskiwania ukraińskich pracowników do pracy w Niemczech. Okazało się, że nie ma zbyt wielu chętnych, bo na przeszkodzie stoją różnice kulturowe i językowe. Pamiętajmy, że ukraiński jest bardzo zbliżony do polskiego, więc przyjeżdżając do Polski, w zasadzie nie mają problemów z komunikacją. W Niemczech jest inaczej. Inna jest też organizacja pracy. I tego wspomniany wcześniej czynnik odległościowy. Ukraińcy to bardzo rodzinny naród i dla wielu wizja zarabiania w euro przegrywa z koniecznością wyjazdu tak daleko od domu. Spod Tarnopola, Hobla czy nawet Kijowa, łatwiej dojechać do Warszawy czy Krakowa, niż chociażby Berlina.

Poza tym należy na to spojrzeć z drugiej strony, z punktu widzenia niemieckich pracowników. Niemiecki rząd nie chce przyciągnąć tanią siłą roboczą, a wykwalifikowanych pracowników. A niemieckie społeczeństwo obawia się utraty takich stanowisk na rzecz obcokrajowców. Pracę w zawodach niewykwalifikowanych chętnie oddają, ale dobrze płatne posady, które wymagają kompetencji woleliby zachować dla siebie.

Trend rocznego wzrostu liczby cudzoziemców, którzy przyjeżdżają do Polski pracować, będzie się utrzymywał?

Zapotrzebowanie na nowych pracowników będzie w Polsce rosło z powodów demograficznych. Polskie społeczeństwo się starzeje, a ponieważ nasz model gospodarczy jest dość udany, potrzebujemy osób w wieku produkcyjnym. W pierwszej kolejności na przyjazd do nas

decydują się mieszkańcy Ukrainy, Białorusi czy Mołdawii, bo poziom życia w tych krajach, nawet przy uwzględnieniu parytetu siły nabywczej, jest znacznie niższy niż w Polsce. Z tego rodzi się potrzeba wyjazdu „za chlebem”. Dlaczego decydują się akurat na Polskę? Jesteśmy dla nich – zwłaszcza dla Ukraińców – krajem bliskim kulturowo i geograficznie.

Z każdego dużego miasta w Polsce można bezpośrednio dojechać do kilku czy nawet kilkunastu miejscowości na Ukrainie.

Z Łodzi funkcjonuje połączenie do Mariupola. Jest dość karkołomne, bo autokar jedzie ponad 24 godziny, ale można wsiąść na dworcu Łódź Kaliska i wsiąść nad brzegiem Morza Azowskiego, w samym krańcu Ukrainy.

Rosnąca imigracja ze Wschodu przypomina trochę masowe wyjazdy Polaków do pracy w Wielkiej Brytanii czy Irlandii, po otwarciu dla nas rynków pracy w tych krajach.

I tak jak wtedy nie wszyscy Polacy ruszyli na Zachód, tak teraz nie wszyscy Ukraińcy czy Mołdawianie przyjadą do nas. Ale póki co jest jeszcze bardzo dużo osób, które mogą się na to zdecydować, więc imigracja będzie rosła. W jakimś stopniu na jej ograniczenie mogą oddziaływać reformy ekipy prezydenta Zeleńskiego, ale chociaż ich pomysły brzmią obiecująco, to przemiany potrzebują czasu. Uważam, że sytuacja na Ukrainie nie zmieni się przez co najmniej kilka lat.

Natomiast w przypadku Mołdawii, która jest krajem jeszcze biedniejszym niż Ukraina, reform gospodarczych nie ma i na razie nie widać, żeby miały się takowe pojawić. Co potęguje motywacje i chęci do wyjazdu.

Na ulicach polskich miast coraz częściej słychać też język gruziński.

Gruzja jest w trochę innej sytuacji, bo to kraj bogatszy od Ukrainy i Mołdawii – wielu Ukraińców decyduje się na emigrację właśnie do Gruzji i podjęcie pracy w gastronomii czy w hotelach. Ale oczywiście zarobki są tam niższe niż u nas, więc chociaż odległość jest spora, Gruzini też do Polski przyjeżdżają. W dużej mierze decydują względy kulturowe: z wzajemnością uważamy się za przyjaciół, a popularność gruzińskich piekarni czy win pokazuje, że mamy podobne gusty kulinarne. Istotne są też problemy Gruzinów z ich walutą. Z powodu powiązań gospodarczych, kurs lari jest silnie uzależniony od liry tureckiej. Kiedy w sierpniu 2018 roku wartość liry gwałtownie spadła, lari też poszło mocno w dół. Gospodarka odczuwa takie nagłe zmiany tym boleśniej, że Gruzini importują wiele towarów. To mocno uzasadnia chęć zarabiania w euro czy w złotówkach.

Pracownicy ze Wschodu widzą szansę na lepsze życie w przyjeździe do Polski, a polscy przedsiębiorcy upatrują szansy na rozwój swoich firm w ekspansji na Wschód. Najchętniej inwestują w Gruzji. Dlaczego?

Po reformach Saakaszwiliego w Gruzji obowiązują liberalne przepisy gospodarcze. Bardzo łatwo założyć tam firmę, a koszty jej utrzymania nie są wysokie. Dla przykładu, koszty prowadzenia pełnej księgowości w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością są kilka razy niższe niż w Polsce. Do tego w Gruzji jest mniejsza liczba podatków niż w Polsce i wyższa kwota wolna od podatku. To jeśli chodzi o same rozliczenia. Ale równie ważny jest potencjał gruzińskiej gospodarki, nie do końca wykorzystywany przez samych Gruzinów. Trochę brakuje nim funduszy, a trochę pomysłu na to, jak prowadzić interesy. Natomiast Polacy, którzy wiedzą czego ich rodacy szukają za granicą, świetnie odnajdują się w tamtejszych realiach. Pod Kazbikiem, jednym z najwyższych szczytów Kaukazu, działa polska firma organizująca wyprawy wysokogórskie. Grupa Polaków z Krakowa zdominowała gruziński rynek rajdów konnych. Nasi przedsiębiorcy inwestują też na tamtejszym rynku nieruchomości.

Na Ukrainie nie jest tak kolorowo. Ci, którzy próbowali robić tam interesy narzekali na korupcję, brak przejrzystych przepisów i niestabilną walutę.

Jeżeli ktoś myśli o wejściu do branży gazowej czy energetycznej, gdzie niepodzielnie panują ukraińscy oligarchowie, to faktycznie może spotkać się z utrudnieniami ze strony administracji, która jest nie jest wolna od powiązań biznesowo-politycznych. Ale np. w mocno rozwijających się, potrzebujących pieniędzy i know-how branżach, takich jak medycyna, sektor IT czy nowe media, są ogromne nisze do zagospodarowania.

Problem polega też na tym, że wielu polskich przedsiębiorców próbuje działać na Ukrainie według schematu, który sprawdza się w Unii Europejskiej. A różnice mentalnościowe i instytucjonalne są na tyle duże, że taki model zachodnioeuropejski po prostu się nie sprawdza. Żeby osiągnąć sukces biznesowy, trzeba znać nie tylko specyfikę danego rynku, ale też daną kulturę. I o ile wszyscy zdają sobie z tego sprawę w przypadku np. Chin, to Ukrainę traktują jak część zachodniego kręgu kulturowego.

Część Ukraińców chciałaby być jego częścią. Nie tylko ekonomicznie, ale też społecznie i politycznie.

Po „rewolucji godności”, euromajdanie, Ukraina weszła na proeuropejską ścieżką. Przecież do tej rewolucji doszło po odrzuceniu przez Wiktora

Janukowycza umowy stowarzyszeniowej z UE. Odsuwając od władzy ówczesnego prezydenta, Ukraińcy pokazali, że zależy im na integracji z Europą i mimo pewnych turbulencji ten kierunek jest dziś utrzymany.

Tyle tylko, że poparcie społeczne w tym wypadku nie wystarcza. Bo chociaż większość obywateli Ukrainy chce i oczekuje proeuropejskich reform, to po drugiej stronie jest grupa kilkunastu dużych oligarchów i powiązanych z nimi lokalnych przedsiębiorców.

Zbliżenie z Zachodem jest im nie w smak.

A raczej nie w portfel. Boją się utraty swojej pozycji. Chociaż są w mniejszości, to dzięki wpływom i zorganizowaniu udaje im się blokować niezorganizowaną większość. Potrafią skutecznie lobbować u deputowanych do Rady Najwyższej Ukrainy i blokować pewne zmiany. Widzieliśmy już ten scenariusz w trakcie i po pomarańczowej rewolucji.

Teraz mamy sporą niewiadomą w osobie prezydenta Żeleńskiego i jego obozu, w którym już pojawiły się pierwsze tarcia. Nie wiadomo co z tego wyniknie i na ile uda się zrealizować przedwyborcze zapowiedzi. Chociażby te związane z zakończeniem konfliktu w Donbasie, co na pewno ustabilizowałyby sytuację wewnętrzną i pozycję międzynarodową Ukrainy.

Za Europą oglądają się też Gruzini.

Gruzini są jeszcze bardziej prozachodni niż Ukraińcy i doskonale wiedzą, czego chcą. Na wszystkich gruzińskich lotniskach, na budynkach administracji państwowej, wywieszone są flagi Unii Europejskiej. Kuriozalne, bo w państwie nieczłonkowskim wisi więcej unijnych flag niż w krajach UE. Ale nawet gdyby przeprowadzili wszystkie wymagane prawnie reformy prorynkowe, prodemokratyczne i dorównali Europie rozwiązaniami gospodarczymi – mają taki potencjał – Unia czy nawet NATO, nie otworzą im drzwi, dopóki nie zostanie uregulowany problem Abchazji i Osetii Północnej. Ani UE, ani Sojusz Północnoatlantycki, nie przyjmą w swoje szeregi państwa, które de facto jest częściowo okupowane przez Rosję.

Stąd kontrowersyjna, ale pojawiająca się w dyskusjach teza, że dla swojego dobra Gruzja powinna uznać niezależność Abchazji czy Osetii Południowej, żeby pozbyć się problemu i pozostać mniejszym, ale integralnym państwem.

Gruzińscy politycy, począwszy od Saakaszwiliego, mają bardzo dobre, często zdobyte na Zachodzie, wykształcenie. Gdyby w takim rozwiązaniu widzieli dla Gruzji szansę, pewnie byłoby ono brane pod uwagę. Dlaczego nie jest? Z perspektywy Polski, kraju znacznie większego, trudno to od razu dostrzec, ale będąc na Kaukazie da się to po prostu odczuć. Trasę od granicy z Rosją do Tbilisi czołgi są w stanie przejechać w niecałą dobę – dlatego gruziński parlament ma siedzibę w głębi kraju, w Kutaisi. Zaakceptowanie niezależności Abchazji czy Osetii byłoby precedensem, który mógłby doprowadzić do końca gruzińskiej państwowości. Przecież Adżaria też jest autonomiczną republiką – tam też były ruchy separatystyczne. Pod byle pretekstem Władimir Putin mógłby wysłać do niej „zielone ludziki” i wprowadzić czołgi pod Batumi. Gruzja zostałaby odcięta od morza i w zasadzie ostałaby się jako małe państewko z Kahetią, Tbilisi i Kutaisi.

Unijni politycy dużo mówią o potrzebie zbliżenia z Ukrainą czy Gruzją, ale czynów na poparcie tych słów nie widać. Z czego ta bierność wynika?

Kraje Unii angażują się politycznie tam, gdzie mają interesy ekonomiczne. A poza Polską, kilkoma innym krajami Europy Środkowo-Wschodniej i Szwecją, nikt nie ma z Ukrainą czy Gruzją poważnych powiązań gospodarczych. Kapitał francuski czy włoski nie będzie zainteresowany wejściem na daleki, obcy kulturowo i biedny rynek, dlatego na Ukrainie mocno działają przedsiębiorcy z Czech, trochę z Polski i Węgier – dla nich różnice ekonomiczne nie są aż tak duże.

Nasza optyka jest też inna ze względów historycznych i geopolitycznych. Dla nas silne, niezależne i proeuropejskie Ukraina i Gruzja są ważne ze względu na nasz interes narodowy. Już w XX-leciu międzywojennym mieliśmy ruch prometejski, który działał na rzecz rozbicia Związku Radzieckiego. Ja jestem zwolennikiem podejścia neoprometejskiego, które zakłada, że Polska będzie w stałym konflikcie politycznym z Rosją – jesteśmy na niego skazani. W ostatnim czasie widzimy, że rosyjskie społeczeństwo jest w stanie przystać na obniżenie poziomu życia, np. przez wymierzone w Rosję sankcje międzynarodowej, za cenę prowadzenia przez Władimira Putina polityki imperialnej. Jej ofiarami padły właśnie Gruzja i Ukraina, które straciły część swojego terytorium. My też obawiamy się rosyjskiej agresji, dlatego musimy trzymać się razem.



Program Rozwoju
Organizacji
Obywatelskich
na lata 2018-2030
PROO



*SFINANSOWANO PRZEZ NARODOWY INSTYTUT WOLNOŚCI – CENTRUM
ROZWOJU SPOŁECZEŃSTWA OBYWATELSKIEGO ZE ŚRODKÓW PROGRAMU
ROZWOJU ORGANIZACJI OBYWATELSKICH NA LATA 2018-2030.*

O AUTORZE



Michał Banasiak

Współpracownik Instytutu Nowej Europy. Były dziennikarz TVP 3 Łódź i wysłannik redakcji zagranicznej TVP. Absolwent stosunków międzynarodowych i studiów wschodnich Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Kontakt:

michalbanasiak@hotmail.com

<https://twitter.com/BanamiChalsiak>